Nr. 37. **Rok I.**



NAUKOWY, LITERACKI I ARTYSTYCZNY.

Cena prenumeraty: kwartalnie w miejscu 15 sbr., na prowincji 18 sbr. 9 fen., w Krakowie i Lwowie 1 zltr. 20 c., w Galicji i w innych krajach austrjackich 1 złr. 40 c.

Poznań, 9 Września 1871.

Redakcja przy ulicy Fryderykowskiéj Nr. 27.
Ajencje:
Lwów: Milikowski, Gubrynowicz i Schmidt
Kraków: Friedlein, Józef Czech.

LIST

Doktora *Henryka Levittoux* do Doktora *Karola Libelta*

w odpowiedzi na jego artykuł o „Drugiém wydaniu

FILOZOFJI NATURY

w języku polskim, Warszawa 1869“, zamieszczony w numerach 17, 18, 19, 20, 21, 22, 23, 24, 25, 26, 27, 28 i 29

Tygodnika Wielkopolskiego.

Czcigodny Panie!

Czytałem z wielkiém zajęciem przesłany mi łaskawie rozbiór krytyczny pracy mojéj, któryś Pan w Tygodniku Wielkopolskim zamieścił.

Wiele czynionych jéj zarzutów, jakkolwiek poniekąd słusznych, nie należy jednak do takich, którychbym w pewnych granicach nie mógł usprawiedliwić, jeżeli nie obronić; lub ażebym ich sam już, co bynajmniéj nie zmniejsza zasługi krytyki, nie przewidział i w ostatniém *wydaniu francuzkiém*, wyszłém na początku r. b. nie sprostował.

Najważniejszy, a przynajmniéj najogólniejszy, jaki mi pan czynisz, którego najmniéj się spodziewałem, jest, „że w wykładzie filozofji siły nie zachowałem“ zdaniem pańskiém, „żadnéj systematyczności“ a raczéj, „że naruszyłem massę materjałów, z których nie podobna dopatrzyć ładu myśli i jasno wytkniętego celu, który udowodnić szczegóły powinny“ (No. 18, str. 217).

Otóż, pominąwszy, że zaraz „*w przemowie*“ do mojéj pracy uprzedziłem, iż „język mój będzie językiem szczegółów, językiem obserwacji, że myśl będzie wszystko w jedną całość wiązać, szukając we wszystkiém jedności przyczyny, zgodnie z prawem natury, będącém rozmaitością tworów przyrody w jedności ich przyczyny“, i że zaraz na wstępie rozdziału o sile mówię: „Zanim się wywiążemy z naszéj tezy jedności siły w naturze i tożsamości jéj z materją w atomie, zobaczmy, jak uczeni definjują siłę i czy czasem w samych już określeniach wyrazu siła, jak i sił rozlicznych, typowych, nie znajdziemy zawiązka myśli naszéj“ (str. 79, fil. natur.); co już dało mi swobodę krytycznego przeglądu najróżnorodniejszych faktów, teorji definicji, systemów, począwszy od Arystotelesa do Newtona, a od tego do Cuviera, G. Saint-Hilaira, Flourensa i współczesnych nam myślicieli, *gdzie jednak nigdy inaczéj prawd naukowych nie użyłem jak tylko, albo jako zasady rozumowania, lub jako wyniku*, i uwolniło od zarzutu „poruszania massy materjałów bez wytkniętego celu,“ przyznaję, że jeżeli Pan nie dotyka zasady tylko metody, nazywając ją usterką książki, że w rozdziale o sile, trzysta stron druku obejmującym, traktującym przedmiot naukowy z tylu podrozdziałów złożony i tyle faktów w sobie grupującym, przeprowadzającym jednym prądem, obok nowéj idei, krytykę trzech poważnych dzieł naukowych myślicieli, jak G. Cuvier, G. Saint-Hilaire i Flourens, jakkolwiek starałem się o jéj poprawność, że ta może nie być doskonałą jakbym sam pragnął. Że jednak nie rzucałem argumentów na los, to jest gdzie się myśli nasunęły, lecz przeciwnie starałem się je stawiać w miejscu, które z ważności swojéj zajmować były powinny i że musiałem zachować w ich

układzie systematyczność, związek logiczny i metafizyczny w celu naprzód wytkniętym dowodzi to, że w tymże samym numerze (18tym) o kilka wierszy daléj i na odwrotnéj stronie (218tej) mówisz Pan: „Uwagi te, (*fakta naukowe i ich konkluzje, z których nie podobna dopatrzyć ładu myśli*) acz sporadycznie, bez ładu i systemu rzucone, są przecież wielkiéj wagi, dowodzą trafnego poglądu autora na rzeczy i docierania wszędzie do pierwiastka wszechstworzenia.“

Uspokojenie moje jednak nie było długie, gdyż złagodziwszy ostrość zarzutów tą poprawką i przyznawszy „rzuconym bezładnie materjałom,“ pewną systematyczność i celowość, w rozdziale *Bóg i Natura*, czynisz Pan znowu nacisk, na „rzucanie zdań bez ich udowodnienia, ani wyprowadzenia z nich innych jako koniecznego następstwa“ (No. 26, str. 314), utrzymując, że „żadne logiczne ani metafizyczne następstwo nie łączy w nim szczegółów.“ (No. 29, str. 350).

Otóż, pozwoli sobie Pan zrobić uwagę, że gdyby rzeczywiście tak było, jak utrzymujesz, praca moja byłaby zbiorem wyrazów tylko, z którychby żadnéj myśli nie można było wyprowadzić; gdy tymczasem, sposób pisania *aforyzmowy*, który rzeczywiście w rozdziale „*Bóg i Natura*,“ przyjąłem, *gdzie również zdania, jak i oddzielne momenta, będące treścią długich medytacji, są postawione w taki sposób i w takiém następstwie, ażeby się logicznie łączyły i wzajemnie wyjaśniały*, jeżeli, na co się zgadzam z Panem, i co nie może być inaczéj, przedstawia nie dla wszystkich umysłów równą łatwość w uchwyceniu metafizycznego następstwa, łączności i celowości myśli, nie idzie za tém, ażeby potrzebując więcéj przygotowania umysłowego i pracy do zrozumienia rzeczy, był tak dalece naganny. — Odpowiesz mi Pan, że sposób pisania aforyzmowy jest tu za słabą dźwignią do podtrzymania ogromnego ciężaru. Być może, lecz czyliż styl biblijny, gdzie aforyzm po aforyzmie napotykamy, nie był wybrany z umysłu przez czterech mężów potęgi Jana Ewangielisty, li dla podtrzymania powagi i uroku słowa Mistrza? Prawda, że to nie byli uczeni i że tym mężom nie szło o naukowe wyświetlenie prawdy, że Biblja wielka natchnieniem i poezją, jako filozofja i nauka, nie wytrzymuje krytyki; lecz spójrzmy na dzieło Boga, na naturę czy ta nie jest wyrażeniem się mądrości *w aforyzmach*, czyli w jednostkach, pozornie nie mających łączności i związku z sobą, które jednak w gruncie najwyższa zależność i wspólność celu łączy?

Co do zarzutu, że raz używam siły *przyciągania w odpychaniu* jako wyniku, inną razą jako punktu wyjścia, w tém masz Pan rzeczywiście słuszność. — Jeżeli jednak zwrócę światłą Jego uwagę na to, że dowiodłszy zaraz na początku rozdziału, a nawet jeszcze w rozdziale: „*filozofja Atomu*,“ iż przyciąganie w odpychaniu będąc przyczyną ruchu jest elementarną siłą w naturze, w miarę rozwoju pracy mojéj, przy każdéj sposobności zwracam uwagę czytelnika na tę siłę raz, jako na wynik, drugi raz jako na zasadę rozumowania; czyli innemi słowy: dowodzę w ciągu całego rozdziału istoty elementarnéj siły *w przyciągającém odpychaniu* i jednym prądem opieram na niéj nową teorję; że ztąd rzeczywiście mogły powstać i powstały dwa prądy pracy zupełnie sobie przeciwne, to nie dowód, ażeby taki sposób pisania, mający głównie na celu wszechstronne przeświadczenie czytelnika o zasadzie i doniosłości rzeczy nieznanéj i nowéj, był tak wadliwy. Czy te dwa prądy starły się w biegu i złamały, jak jedna lokomotywa łamie drugą, niebacznie na jéj drodze zostawioną, czy nie? to w tém dopiéro, zdaniem mojém, jest kwestja. — Zdaje mi się jednak, co do mnie, że zamiast jeden prąd zaszkodzić tu drugiemu, wspierał go tylko i że obadwa na tém wygrały, przedstawiając w każdéj chwili czytelnikowi dwie strony jednego i tegoż samego medalu. — Cieszę się zresztą, żeś mi Pan w końcu i tu pomimo wytknięcia niektórych usterek, jak je nazywasz nie odmówił uznania — chcę mówić, żeś uznał moje przyciąganie w odpychaniu za przyczynę ruchu, a więc ostatecznie za elementarną, typową siłę w naturze.

Co do słusznéj uwagi Pańskiéj, dla czego mojéj sile elementarnéj, osobnego rozdziału w książce nie poświęciłem, nadmieniam, że w ostatniéj edycji pracy mojéj wyszłéj w języku francuzkim, *przyciągające odpychanie* w paraleli z *grawitacją* Newtona i *ruchem* Ojca Secchi, już ma sobie poświęcony oddzielny rozdział, jako konkluzja tego, co w tym względzie w poprzednich rozdziałach powiedziałem. —

Czyni mi również Szanowny Pan uwagę, że w rozdziale o Sile nie mówię o Bogu jako o pierwszéj przyczynie wszechrzeczy, lecz dopiéro w następnych rozdziałach. — Pospieszam z uprzedzeniem Go, co również nie zmniejsza zasługi Pańskiego sądu, że błędy te jak i wiele innych tym podobnych w wydaniu francuzkiém już sam poprawiłem. —

Nie raczyłeś wszakże Pan, mówiąc *o jedności typu zwierząt kręgowych* G. Saint-Hilaira i *o jedności typu w królestwie roślinném* Goëthego, wspomnieć, że podałem również myśl jedności typu dla ciał prostych, tak zwanych nieorganicznych, jak i dla całéj kreacji a którym dla mnie jest Atom. Co zresztą sam czasowi i sankcji nauki zostawiłem. —

W rozdziale „*filozofja Słońca*“, którego teorji, raczyłeś Pan łaskawie nie odmówić pewnych pochwał, gdybyś uczynił mi był zarzut, że nie słusznie przypisuję Galileuszowi uważanie plam słońca za ciała ciemne, miałbyś Pan największą słuszność, gdyż wielki ten astronom, plamy te rzeczywiście nie jako ciała ciemne, lecz jako chmury uważał: co w wydaniu ostatniém sprostowałem. Że zaś dziwisz się Pan, dla czego także to uważanie plam Galileusza przyjmuję za swoje? (Nr. 24 str. 289) odpowiem, że teorji plam słońca tego astronoma sobie nie przyswoiłem, gdyż jak powiedziałem, Galileusz uważał je za chmury, kiedy ja uważam je za ciała ciemne około słońca krążące: co tworzy dwie odrębne teorje. Co zaś do wyrazu także, któryby oznaczał, że już coś wziąłem od kogoś w pracy mojéj, daruje Pan, lecz przeciwko podobnemu znaczeniu tego wyrażenia, gdyby takowe w umyśle Jego miało miejsce, protestuję. —

(Ciąg dalszy nastąpi.)

HISTORJA SIWEGO WŁOSA.

Powieść

Władysława Łozińskiego.

(Dalszy ciąg.)

— A to wybornie się składa — odparł Oktaw nie zrażając się szorstką odpowiedzią Saugera. — Mamy do siebie nawzajem interesa. Chodzi tylko o to, kto z nas ma piérwéj wystąpić ze swoim?

— Jabym myślał, panie hrabio, że ja — rzekł z lekkim szyderczym naciskiem Sauger — a to dla tego właśnie, że nie mam czasu i daremnie tracić go nie chcę.

To słowo „daremnie“ wymówił z silniejszym akcentem.

— Słucham tedy... — rzekł Oktaw udając spokój i rezygnację.

— Pan hrabia zapewne zapomniał — odezwał się Sauger swym syczącym tonem, który świdrem wwiercał się w uszy Oktawa — pan hrabia zapomniał, że dzisiaj niepotrzeba było przysełać do mnie, bo ja sam przyjdę z pewnością. Mam dług mały u pana hrabiego, eine kleine Summe.. etwa 2000 Gulden... Dzisiaj właśnie przypada termin, der Wechsel ist fällig, proszę zatém...

Tu Sauger przerwał i zamiast dokończenia rozpiął swe pomarańczowe palto, sięgnął do grubego, zatłuszczonego pularesu i wydobył podłużny, fatalny skrawek papiéru, który zatrzymał na wierzchu ująwszy go dwoma palcami za rożek.

— A to wybornie! — probował zawołać z uśmiechem Oktaw, choć prolog ten przejął go prawdziwą trwogą — a więc nasze życzenia spotykają się z sobą!

— Jakto? — przerwał szybko Sauger rzucając badawczy wzrok na Oktawa. — A! rozumiem, pan hrabia woła mnie sam, aby zapłacić...

— Ależ nie — odparł Oktaw — zgadzamy się dziwnie z sobą, ale z całkiém innego powodu. Widzisz panie Sauger, ty chcesz pieniędzy i ja chcę pieniędzy...

— Ein guter Witz, Herr Graf — zaśmiał się Sauger — a podobieństwo jeszcze jest jedno, pan niemasz pieniędzy i ja ich także nie mam...

— Podobieństwo fałszywe... W to drugie nie wierzę...

— A mnie pierwsze nic nie obchodzi... — odparł Sauger stanowczo. — Potrzebuję dziś koniecznie pieniędzy; czekać nie mogę.

— Ależ mój panie Sauger, czy żartujesz! Przywołałem cię właśnie, aby cię koniecznie uprosić o tysiąc reńskich i o prolongatę dawniejszego wexlu. Nie możesz mnie tego odmówić w żaden sposób! Miałżebyś mnie opuścić w najkrytyczniejszéj chwili, w ostatnim kłopocie, bo ręczę ci, że to mój kłopot ostatni! Za trzy miesiące wypłacę ci wszystko, panie Sauger, tego możesz być pewien zupełnie; najuroczyściéj ci to zaręczam...

— Ein Cavalier-Wort znaczy u mnie wiele, bardzo wiele — rzekł Sauger z ironją, któréj nawet maskować nie usiłował — ale w banku ono nic nie znaczy, a ja mam wypłatę w banku. A zresztą choćbym miał pieniądze, nie dałbym ich, mówię otwarcie, panie hrabio...

— Dla czego?

— Dla czego pan nie płaci? W tém pytaniu jest odpowiedź, Herr Graf!

— Ale zapłacę, z pewnością i w bardzo krótkim czasie zapłacę! — zawołał Oktaw rozpaczliwie.

— Przepraszam bardzo pana hrabiego — odparł Sauger — pan hrabia jest bardzo młody i wierzy jeszcze samemu sobie...

— A pan mi nie wierzysz! — zawołał Oktaw gniewnie tracąc już resztę cierpliwości.

— Nie! — odparł sucho Sauger — bo znam pana lepiéj, niż pan sam zna siebie...

— Nie poznaję cię dzisiaj, panie Sauger...

— Więc będę mówił otwarcie, panie hrabio. Ja znam pańskie stosunki, tak jak pan hrabia, lepiéj niż sam pan hrabia. Pan nic nie masz. Pan przyjechałeś do Lwowa z kilku tysiącami franków, które poszły sobie, ustępując miejsca kilku tysiącom długów. Zkąd pan zapłaci?

— Jeźli nie zapłacę sam, zapłaci moja matka...

— Pardon, Herr Graf — zawołał Sauger z jadowitym uśmiechem. — Pani hrabina nie zapłaci...

— Toczymy proces — rzekł szybko Oktaw, żałując, że imię matki wprowadził w rozmowę i przerywając dla tego Saugerowi — toczymy proces, który lada dzień i to najpewniéj rozstrzygnie się na naszą korzyść... Chodzi tu nie o tysiące, ale o krocie!... Pożycz mi pan żądaną sumę i prolonguj dawniejszą... Nie będę trudnym w przyjęciu warunków...

— Herr Graf sind immer nobel! — wtrącił złośliwie Sauger.

— Masz pan ewikcję w procesie. Pytaj się pan adwokata, a dowiesz się, jak ta sprawa stoi... ale zmiłuj się, nie odmawiaj mi téj małéj przysługi.

— Nie mogę — odparł sucho Sauger. — I na dawny dług czekać nie mogę. Es ist mir höchst unangenehm, Herr Graf, ale zmuszony jestem dziś jeszcze porobić kroki sądowe...

Rzekłszy to Sauger wstał, puścił gruby kłąb dymu z cygara i wziął za kapelusz.

Oktaw był w rozpaczy. Zastąpił drogę Saugerowi i wołał:

— Nie, nie pójdziesz pan, panie Sauger! Musisz zrobić ze mną ten interes, będzie to ostatni, i będzie dobry dla ciebie! Zapłacę procentu, ile chcesz, dam sto za sto! Słuchaj, panie Sauger, sto za sto za trzy miesiące!

Sauger popatrzył badawczo na Oktawa. Bystremu oku jego nie uszła rozpacz, która się wybijała na twarzy młodego człowieka. Było to studjum, na które widocznie czekał Sauger. Lubił on najlepiéj traktować wtedy, gdy ofiara jego wydała mu się już zrozpaczoną. Rozpacz bywa złym doradzcą, a przed głosem jéj ucicha honor i sumienie. Saugerowi pożądaną była taka sytuacja.

Usiadł i przybierając łagodniejszy wyraz twarzy rzekł do Oktawa:

— Panie hrabio, mówmy otwarcie. Jabym panu chętnie i poczekał i pożyczył, ich hab' ja doch mit einem vornehmen Cavalier zu thun.. Ale ja nie mam pewności, ja nie mam żadnéj pewności. Ja nie mówię tego, aby pańskie imię było złą rękojmią... Ale to nie wystarcza. Dajmy na to, pan nie będziesz mógł zapłacić! Dajmy na to, że pan umrzesz, albo raczéj, że pan zginiesz w pojedynku. Młodość, kobiéty, karty, szampan — gdzie są te cztery rzeczy — und wie kann ein Cavalier żyć bez tego? — tam bywa piątą bardzo często para pistoletów... Nie bierz mi pan tego za złe, panie hrabio. Ja krwawo na moje pieniądze pracowałem i muszę być ostrożnym...

— Więc jakąż ci dam pewność, panie Sauger?

— Pan mi ją dać możesz łatwo...

— Mów więc, czego żądasz?

— Bardzo małéj i bardzo łatwéj rzeczy: drugiego podpisu.

Oktaw przeszedł się w zamyśleniu po pokoju. Odbywał rewję swoich znajomych i przyjaciół a potém wyliczył kilka nazwisk.

Sauger chwalił każde nazwisko z osobna, ale wysłuchawszy wszystkie, rzekł sucho:

— Das geniegt mir nicht... Nie zrobimy interesu. Przykro mi to bardzo, ale pan hrabia daruje...

— Dałbym ci podpis mojéj matki, ale to przewlekłoby sprawę, a mnie dziś potrzeba pieniędzy. Musiałbym czekać przynajmniéj tydzień.

Sauger uśmiechnął się z politowaniem, przybrał minę zimną i obojętną, i powtórnie chwycił za swój pogięty kapelusz.

— Chwilkę jeszcze, panie Sauger! — zawołał wstrzymując go znowu Oktaw. — Proponuj pan sam! Może znajdziemy środek...

— Środek jest, ale czy nie będziesz się pan gnie-

wał, jeźli go otwarcie wypowiem? Pan hrabia młody jeszcze bardzo, i ma zapewne uprzedzenia swego wieku.

— Mów pan śmiało — rzekł Oktaw zmęczonym głosem i usiadł.

— Herr Graf — zaczął mówić Sauger cichym ale dobitnym i sykliwym głosem. — Za dawnych czasów, jak to panu hrabiemu dobrze wiadomo, rycerze w każdéj potrzebie wzywali imienia swéj damy. Sauger ist ein gemeiner Jude, ale Sauger zna rycerskie tradycje. Ein jeder edle Ritter nosił barwę swéj damy, na wojnie i w pokoju, a gdy się na nią zaklął, dotrzymać musiał słowa, choćby świat się walił cały... Nieprawdaż, panie hrabio?

Oktaw słuchał z zdziwieniem słów lichwiarza. Gdy Sauger przerwał, Oktaw rzekł z uśmiechem:

— Do czegoż te słowa dążą? Nie rozumiem cię, panie Sauger! Czyż chciałbyś, aby ręczyła za mnie kobiéta?

— Otóż właśnie pan hrabia dobrze mnie rozumie! — odparł Sauger z szczególniejszym naciskiem.

— A to wybornie! — zawołał Oktaw. — Czyś oszalał, panie Sauger!

Sauger zrobił minę obrażoną i powstał z krzesła, aby opuścić pokój.

— Ależ zastanów się sam, czego żądasz! Któraż z dam mogłaby ręczyć za mnie!

— Jest ich wiele! Pan hrabia ma szczęście do tego... Sauger wie i o tém. Na przykład...

— Na przykład... — poderwał Oktaw niecierpliwie, gdyż Sauger zawahał się z wymienieniem nazwiska.

— Pani hrabina Rokicka! — dokończył Sauger cichym szeptem, który przechodził w świst jakiś stłumiony a przecież przeraźliwy.

Oktaw zarumienił się, ale pokrył oburzenie głośnym śmiechem.

— Śmiesznym jesteś, panie Sauger, albo żarty ci w głowie. Spodziewałem się, że twój środek będzie rozsądniejszym. Czy myślisz, że proponowałbym hrabinie coś podobnego?

— Pan hrabia nie potrzebuje proponować... — odparł z silnym akcentem Sauger.

— Czy myślisz, że śmiałbym żądać, aby ta dama podpisywała moje weksle? — zawołał z widocznem już oburzeniem Oktaw.

— Ona nie potrzebuje ich podpisywać... — rzekł Sauger tym samym tonem, co pierwéj.

— Gdyby hrabina nawet wiedziała... — zaczął daléj Oktaw głosem gniewnym.

— Ona nie potrzebuje wiedzieć! — przerwał znowu Sauger.

Oktaw chwilę milczał, jakby kombinował słowa zagadkowe Saugera. Nagle poczerwieniał od gniewu i chwytając Saugera za ramię, zawołał:

— Wiém już, co myślisz, żydzie!

— Nareszcie... — rzekł obojętnie Sauger.

Oktaw chwilę nie posiadał się z gniewu. Sauger siedział obojętnie jak statua. Patrzył spokojnie na Oktawa, uśmiechał się i palił cygaro.

— Pan hrabia powiedział — ozwał się lichwiarz, gdy się Oktaw nieco uspokoił — że nim przyjdzie termin przyszły zapłaty, proces już będzie skończony...

— Z pewnością będzie skończony — potwierdził Oktaw.

— I że hrabia będzie miał nie tysiące ale krocie.

— I będę je miał!...

— Pan hrabia powiedział daléj, że za trzy miesiące najpewniéj mi zapłaci...

— Zapłacę najpunktualniéj! — zawołał Oktaw.

— Nun, Herr Graf! A zatém? — szepnął Sauger i spojrzał swym przebiegłym wzrokiem w oczy Oktawowi, jakby chciał zwrócić jego uwagę na wniosek wypływający z tego całego syllogizmu.

— Azatém? — powtórzył od siebie pytanie Oktaw, który poczynał domyślać się konkluzji Saugera.

— Azatém — odparł Sanger — czy pan hrabia potrzebuje proponować? czy pani hrabina potrzebuje sama podpisywać? czy potrzebuje o tém wiedzieć? czy jest co w tém złego? Nie! Nein und wieder nein! A pan hrabia czy potrzebuje się gniewać? a ja czy potrzebuję tu czas tracić?

Oktaw począł się żywo przechadzać po pokoju w zamyśleniu. Argumenta Saugera oburzały jego uczucie, ale trafiały do jego lekkomyślności.

— Istotnie cóż w tém złego? — począł argumentować w myśli Oktaw. — Wszakże zapłacę na czas, i nikt ztąd szkody nie poniesie, ani nikt o tém wiedzieć nie będzie! A zresztą, to tylko zabawniéj będzie. Sam powiem o tém Adeli i śmiać się z nią razem będziemy z téj całéj farsy.. Ach, widzę ją, jak się śmiać będzie z téj śmiesznéj awantury! Głupi żyd! Eh bien, cóż to w końcu szkodzi...

(Ciąg dalszy nastąpi.)

TESTAMENT LELEWELA.

„Ich brach nicht — nur mein Herze brach!"
Heine.

Kiedy wiosna swe wdzięki roztacza w około —
Gdy ze sklepień zielonych, z przyrody kościoła
Głos jaskółki rozbrzmiewa jak pieśń archanioła,
I zwrotką zmartwychwstańczą rozjaśniając czoło,
Świat do życia woła...

Kiedy wszystko na niebie, pod ziemią, na ziemi,
I w sercu i w pamięci brzmi kochania głosem —
Czemuż siedząc zamyślon, lat zbronzowan ciosem,
Nie idziesz w świat ułudy — lecz myśli tęsknemi
Dumasz sam jeden... z twym losem?...

I otwierasz w zadumie księgę ksiąg i dziejów!...
Nad tobą świat wiosenny — pieśni — kwiaty — drzewa —
Tam obłoczne mkną zamki — tam świat gwiazd powiewa —
Tam słowik, jak bohatyr wśród nocnych turniejów
Pieśń tryumfu śpiewa...

A ty zamiast uklęknąć — i jak harfy nuta
Oddźwięczyć hymn natury w zmartwychwstańców pieniach,
Zamiast grzać się we wspomnień i w słońca promieniach —
Oko w oko z rozpaczą, myślisz... a myśl struta
Tonie sieroca w cierpieniach...

Bo nad skronią pobladłą, spaloną natchnieniem,
Nie gwiazda jasna świeci — ni nadziei gwiazda! —
Boś wygnan jako orzeł z rodzinnego gniazda —
Bo nad duszą twą czuwa, z szyderczém spojrzeniem
Los — zwan przeznaczeniem!...

* * *

„Karto dziejów! w twym pyle pogrzebać chcę oko —
Chcę myślą się w dalekie przenieść epopeje
Cóż czytam?... Martwe wczora co się z dzisiaj śmieje —
Imiona bohatyrów pod pleśni powłoką...
Pogrobowe dzieje!..

„Polsko mo'a żałobna! jeśli oniemiałaś —
Jeśliś dotąd bezsilna zerwać grobów pęta —
Spojrzyj na twoją przeszłość; tam prawda zaklęta:
Miałaś królów i szlachtę — lecz ludu nie miałaś,
Polsko moja święta!

Dopóki nie poskromisz średniowiecznych grzechów —
Dopóki sztandar ludu nie porwiesz w swe dłonie —
Miecz twój wielki, co dzierżysz w ojczyzny obronie,
Łamiąc się w pośród świata pogardy i śmiechów,
Zawiśnie w twém łonie!

„Bo postęp wieńczy tylko tych, którzy z nim idą!
On niezna dymu pychy ani kart herbarza!
Jak kapłan, ludowego on broni ołtarza —
Świat życia a nie prochów dlań szczęścia egidą:
On nie grabarzem — on stwarza!...

„Gdy umrę — powiedz Polsce, żem był dobrym synem —
Żem marzył dla niéj wielkie i swobodne państwo —
Że nie herby ją zbawią — lecz lud i mieszczaństwo —
Że Kościuszko tém szlachcic, że zniósł ich poddaństwo! —
Żem ja — mieszczaninem!!!

* * *

Już lat dziesięć od słów tych pamięć mą rozdziela!...
Lecz ty, Polsko, dowiodłaś w powstańczym pochodzie
Że z ludem ręka w rękę idziesz ku swobodzie!...
Więc tę wolę ostatniéj wiosny Lelewela
Święcę ci, Narodzie!...

Bruksela 3 maja 1869. **Henryk Merzbach.**

TEORJE POLITYCZNE XVI WIEKU

skreślił

Dr. W. M. Olendzki.

I.

Teorje i pamfleta stronników Reformy.

(Ciąg dalszy.)

Taką była według naszego przekonania machjawellistyczna polityka pierwszych Reformatorów, polityka, która jakkolwiek dobrze była maskowaną w całym ustroju dzieł tak Lutra jak Kalwina, w końcu przebija się jednak pod postacią wyjątku od reguły.— Dla przykładu przywodzimy tu ostatnie słowa pisma, wydanego w 1539 r. przez Lutra wspólnie z Melanchtonem, Jonaszem i Baurem:

„Tak jak Ewangelja potwierdza zwierzchność w urzędzie, tak też uświęca prawo natury i prawo pisane. Nie podlega żadnéj wątpliwości, iż ojciec familji winien jest bronić przeciw publicznemu mordowi, żonę, dzieci i domowników, a to wszystkiemi siłami. W tym względzie nie ma żadnéj różnicy między człowiekiem prywatnym a królem, zwłaszcza jeżeli ten po za granicami swego urzędu, władzy bezprawnie nadużywa. ponieważ gwałt publiczny znosi wszelkie obowiązki poddanych względem panującego — jure naturae.“ Kalwin zaś na końcu rozdziału „o Rządzie cywilnym“ dzieła swego „Jnstitutio christiana“ pisze: „Z posłuszeństwa, które zalecaliśmy dla przełożonych, robimy wyjątek, który winien być ściśle przestrzegany: posłuszeństwo względem panującego nie rozwiązuje nas z posłuszeństwa Temu, przed którym korząc się ograniczają swe chęci królowie, przed którego majestatem niknie ich wielkość. Gdyż byłoby to wielką przewrotnością, jeżelibyśmy dla zadowolenia człowieka, obrażali Tego, dla którego miłości tylko jesteśmy posłuszni..... Wszelki rozkaz ludzki przeciw Bogu winien być dla nas żadnym.“ Oto są słowa, rozwijanie których utworzyło czysto pol tyczną literaturę w XVI wieku. — Zanim jednak do niéj przystąpimy należy się poświęcić kilka słów kwestji owczesnéj tolerancji religijnéj.

§ XIV.

Wiadomo, iż Luter w pierwszych swych pismach wymagał wolnéj dysputy dla tak zwanych heretyków, mówiąc iż słowem nie zaś ogniem należy ich przekonywać. Zaledwie jednak nowa nauka wzmogła się w siły, zaledwie w łonie samego protestantyzmu odcienia tworzyć się zaczęły, zmieniają się i doktryny tolerancyjne, a najumiarkowańszy z Reformatorów Melanchton, nie waha się wymagać kar na herezję. Kwestja ta cała z natury swéj bardzo drażliwa, potrzebowała tylko dogodnéj sposobności, aby wielkim rozgorzeć płomieniem.

Okoliczność tę spowodował Kalwin paląc na stosie w Genewie Serveta.[1]).

Przeciw temu krwawemu czynowi wystąpił dawny przyjaciel Kalwina Sebastjan Castalio pod pseudonymem Marcina Belliusa, w traktacie p. t. „De Haereticis, quomodo cum iis agendum sit, variorum sententiae“ gdzie potępia bezwzględne skazanie Serveta na śmierć. Zagorzali zwolennicy Kalwina podjęli rękawicę i jeden z nich Teodor de Beza odpowiedział Belliusowi traktatem: „De haereticis a civili magistratu puniendis, adversus Martini Bellii farraginem, et novorum academicorum sectam“, gdzie usprawiedliwia staranie Serveta i występuje przeciw wolności sumienia. Dzieło Bezy rozbiera trzy następujące pytania:

1) Czy heretycy powinni być karani?

[1]) Nietylko w polityce ale i w teologji umysły spekulatywne podnoszą kontrowersa i wychodzą z ciasnego koła zakreślonego przez pierwszych Reformatorów. Do takich umysłów należy obok wielu innych medyk hiszpański Michał Reves zwany Serwetem, autor wydanego w 1531 r. dzieła „de Trinitatis erroribus.“ W r. 1553 wydaje on w Vienne w Delfinacie dzieło „Christianismi Restitutio“ należące dziś do wielkich rzadkości bibljograficznych. „Ipsa raritate rarior“ mówią Schelhorn i de Bure. Jeden exemplarz należący niegdyś do Dr. Mead, a następnie do księcia de la Valière znajduje się dziś w Bibl. Ces. w Paryżu, 2gi zaś exemplarz podobno w Wiedniu — więcéj nie ma. Servet po wydaniu dzieła musiał uciekać z Francji, schroniwszy się do Genewy został z rozkazu Kalwina spalony. — Patrz życie Serveta przez Allwoerden, Helmstadt 1727 roku. Zasady Serveta są dość ciemne mówi Grotius — Op. Theolog t. IV. — Est in illo negotio difficillimo facilis error — tamże str. 655. — Wiele podobieństwa z zasadami jego mają nauki Laeliusa Socina, Fausta szkoły Rakowskiéj, patrz Rees „History of Racovian Catechism.“ Bayle, art. Socinus.

2) Czy karanie ich jest prawem władzy cywilnéj?

3) Czy herezja pociąga za sobą karę główną?

Pierwsze pytanie jest najważniejsze, idzie tu bowiem o zdefinjowanie herezji, a definicji téj poświęca Beza stron 13, których podamy streszczenie. Herezja, mówi Beza, winna być odróżnioną od niewiary, turcy i żydzi nie wierzyli nigdy w Chrystusa, heretykami zatem nie są i o nich tu nie chodzi. Herezja różni się również od nieczystości, złości i złych obyczajów etc. Człowiek bowiem może być występnym i zgniłym moralnie nie będąc heretykiem (!) Herezja polega zatem na oddzieleniu się od kościoła nie obyczajami i postępowaniem, lecz przekonaniem (sic) i nauką. Mylne przekonanie z powodu niewiadomości herezją nie jest, lecz heretykami są ci, co się mylą z umysłu i mimo ostrzeżeń w błędzie trwają. Tak określoną herezję władza tępić powinna, stając zaś w obronie zasad dających na to prawo. cytuje Beza i stara się obalić jeden po drugim argumenta obrońców wolności sumienia do których obok **Castaliona** należało wielu innych, a między temi: **Aconcio** (de Stratagematibus Satanae — 1565) **Mino Celso** ze Sienny (de Hereticis capitali supplicio non officiendis — 1584) **Teodor Koornhert** z Holandji a nawet po części **Molina** jezuita hiszpański. [2]).

Nie tu jest miejsce do traktowania porządkiem organicznym całéj polemiki, zwłaszcza że 2 i 3 punkt dzieła Bezy, dotyczy kwestji czysto teologicznych, należy się jednak wspomnieć o stronie przeciwnéj Bezie. Obrońcy wolności sumienia, w szczególności zaś organ ich dzieło Castaliona nietylko jest głębiéj filozoficznie pomyślane, ale czyściéj pojmujące idee chrześcijańskie. „Dogmata, mówią oni wszyscy, o które różne sekty zabójczą wojnę prowadzą, są w sobie i jako takie dla udoskonalenia człowieka obojętne. Głównym dogmatem jest uznanie jednego Boga ze wszystkiemi narodami, z żydami i turkami, a Jezusa Chrystusa z Chrześcijanami, reszta powinna być zostawioną właściwemu uznaniu i dysputom. Przypuściwszy nawet istnienie ważniejszych, od tych dwóch dogmatów, to i tak niesprawiedliwém byłoby karać tych co ich nie uznają, pismo św. bowiem dając pole wszelkiego rodzaju interpretacjom nic dowieść nie jest w stanie. Miłosierdzie chrześcijańskie nie pozwala na tępienie jednych przez drugich „Chrześcijanin winien być słodkim i litościwym". Wreszcie heretycy są jako tacy ludzie od których nic złego spodziewać się nie należy, ten bowiem co nie lęka się umrzeć za swoje przekonanie, jest silny moralnością jako człowiek w ogóle społeczeństwa, wierny zaś i posłuszny jako obywatel państwa. Nikt nie może być zmuszonym wierzyć wbrew swego sumienia, dla czegoż męczą bez litości niewinnych? Dla czegoż główne zbrodnie zostają bez kary?" [3]).

[2]) Patrz obok cytowanych już źródeł do téj epoki odnoszące się prace: **Bayle**, Biogr. univer. — **Brandt**, Hist. de la Ref. des Prov. Unies. — **Hinrichs**, Gesch. der Staats u. Rechtsprinzipien seit der Ref. — **Ranke**, Gesch. der Ref.

§ XV.

Polemika ta, zwłaszcza sromotne dzieło Bezy jest ostatniém echem staréj reformy, szukającéj podpory na zewnątrz zasad które sama poruszyła, na gruncie nauce jéj wprost przeciwnym. Młoda reforma zostawiwszy niezdolnych do odbycia dalszéj drogi swych założycieli w objęciach władzy i formalistyki dogmatycznéj poszła naprzód drogą organizacyjno-politycznych starań już nie o los duszy ludzkiéj po śmierci, ale o los człowieka i społeczeństw tworzących państwo ziemskie. Droga ta jednakże prowadziła do drugiéj ostateczności, do wyrobienia ultra-rewolucyjnych idei, których ostatecznym rozczynem poiły się i wielkie dusze i najniecniejsze wyrzutki, których ferment wydał w historji różne odcienia **Poltrotów** i **Maratów**.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

[3]) **Castalio** — de Haereticis, str. 39 i 63.

PRZEGLĄD LITERACKI.

Russland am 1 Januar 1871. — von einem Russen. Leipzig, Verlag von Duncker u. Humboldt.

Od niejakiego czasu dostarcza sprawa polska niewyczerpanego materjału rosyjskim dziennikarzom i publicystom. W broszurach wydawanych po największéj części za granicą, niekiedy zaś w kraju bez podania miejsca druku, pisanych zwykle po niemiecku lub rosyjsku, poruszają oni kwestje palące, kwestje najżywotniejsze, od których rozwiązania zależeć będzie przyszły ustrój państwowy i społeczny większéj połowy Europy. Jakiekolwiek mają przekonania i wiarę polityczną, czy są przyjaciołmi, czy wrogami naszymi, zawsze oni w jednym punkcie się schodzą, przyznając zgodnie, że w krajach zostających pod panowaniem Rosji, status quo jest niemożebne, i że niezadługo na wschodzie Europy zajdą ogromne polityczne metamorfozy. Wiemy z doświadczenia, że przed wielkiemi wypadkami dziejowemi, pośród duszącéj atmosfery przygotowywania się zapaśników do akcji, a oczekiwania niewtajemniczonéj publiki, jak jaskółki przed burzą zjawiają się setki broszur, wyprzedzających nadchodzącą katastrofę, a będących zarazem jéj zwiastunami.

Cała Europa zostaje dziś w anormalnym stanie. Po mniéj lub więcéj ważnych reformach i wypadkach, jakie zaszły na południu i zachodzie, w Hiszpanji, Włoszech i Francji — uwaga ogółu zwrócona na wschód — na Austrję, Rosję i Turcję. Więc zjeżdżają się ze względów rzekomo sanitarnych mocarze i dyplomaci u wód, nie aby własne siły fizyczne wzmocnić — lecz by radzić nad przywróceniem do zdrowia chorego, którego obszerne cielsko poważne na karcie naszéj półkuli zajmuje miejsce.

Nie jest naszym zamiarem z tych narad dyplomatycznych i politycznych broszur stawiać na przyszłość jakiekolwiek horoskopy — pozostawiając to dziennikom poświęconym polityce, sami od czasu do czasu zamierzamy w krótkości streszczać publikacje tych pisarzy zagranicznych, co w jakibądź sposób — przyjazny lub nieprzychylny — zastanawiają się nad rolą, jaką wedle ich zdania Polska w przyszłości odegra. Ponieważ **Tygodnik**, jako pismo przeważnie naukowe i literackie, traktatom politycznym w swych łamach poświęcać się nie może, dla tego też ograniczać się będziemy na skromném zadaniu określenia dążności i celów autora, pozostawiając sąd publiczności i odpowiednim czasopismom.

Rozpoczynamy nasz przegląd od bezimiennie w Lipsku wydanego dziełka, p. t. **Russland am 1 Januar 1871, von einem Russen**. Autor mówi wiele o Polsce i o jéj stosunku do Rosji, a, jakkolwiek poglądy jego nie są nam przychylne i propozycje tyczące się przyszłości Polski dla nas niekorzystne, życzyćby jednakże należało, by kwestje poruszone przez niego podjęli nasi ekonomiści i politycy. Choć wielki zwolennik Niemców, okazuje się autor gorliwym Rosjaninem, zna dokładnie

stosunki swéj ojczyzny, i acz źle uprzedzony względem Polaków, czuje wszakże, iż system wynaradawiania, uciemiężania i eksploatowania à tout prix podbitego kraju, chybia celu i w skutkach jest zgubny.

Autor widzi od niejakiego czasu wielki postęp w Rosji. Twierdzi, że naród, co przez długie wieki jęczał pod jarzmem małodusznego despotyzmu, uzyskawszy wreszcie nieco swobody, szybkim krokiem zdąża na drodze umysłowéj i ekonomicznéj pracy. Wzrost piśmiennictwa perjodycznego, mnóstwo utworów samodzielnych treści naukowéj i przekładów z obcych języków, jako też ogólny popęd do nauki — oto świadectwa umysłowego rozwoju Rosji. Z drugiéj strony zaprowadzenie sądów publicznych i przysięgłych wzbudza zaufanie do rządu i poszanowanie dla praw, którego dotąd nie znał. Ale to wszystko nie wystarcza, bo niemoralność między ludem zbyt silne zapuściła korzenie — ztąd mówi autor że „dopóki kościół nie będzie wywierał na masy uszlachetniającego wpływu, dopóty często nam jeszcze żałować wypadnie, że zawcześnie popuszczono cugli namiętnościom.“ Ogólnikowy ten frazes nie objaśnia nas bynajmniéj, jakiéj reformy w kościele autor żąda — domyślać się tylko można, że ma na myśli zepsucie grasujące między samymi popami, którzy swém postępowaniem odstręczają lud od religijnych praktyk i naprowadzają go na drogę sekciarstwa i moralnego upadku. Najbardziéj w Rosji rozpowszechnionym nałogiem jest pijaństwo. „Wódka pochłania wszelkie dostatki ludu, rozprzęga szczęście rodzinnego pożycia i staje na przeszkodzie pracy, od któréj i tak z powodu świąt jest wolny przez trzecią część roku.“ Pojmie więc każdy, że w takim stanie rzeczy wyroby rękodzielni rosyjskich żadną miarą nie mogą współzawodniczyć z wyrobami fabryk zagranicznych, i że praca w gospodarstwie rolném przepłaca się, ponieważ wszystkie płody produkcyjne podrożały.

Uwłaszczenie chłopów nie wydało dotąd spodziewanych owoców, gdyż posiedziciele ziemscy nie mają odpowiednich kapitałów, aby opłacać wolnych robotników. Stosunki panów do włościan regulują się bardzo powoli, a na wielkoruskich chłopach ciąży jeszcze klątwa posiadłości gminnéj, podziałów familijnych, brak intelligencji i ojcowskiéj pieczy. Z pomiędzy różnych gałęzi gospodarstwa rolniczego podupadło najbardziéj hodowanie bydła, bez którego nie ma postępu w rolnictwie. Gdyby nie Syberja, ustałby zupełnie wszelki wywóz skór i łoju. Każdy zaś ubytek produktów eksportowych tém bardziéj bywa zastraszającym w Rosji, że w obiegu są tylko pieniądze papierowe, których wartość najzupełniéj zawisła od chwiejności kursów, — że daléj wypłacać trzeba za granicą rocznie niezmierne sumy, powiększające się ciągle, na których pokrycie nie wystarczają owe produkta. Każda nowa pożyczka zagraża kursom giełdowym, a tém samém sprowadza coraz większe spadanie pieniędzy papierowych. „Tak więc państwo i społeczeństwo przyczyniają się nawzajem do swego własnego upadku, a pomimo to budowa kolei i potrzeba wielu płodów zagranicznych wymagają ciągle nowego kredytu.“

Ztąd wnioskuje autor, że Rosja tylko wtedy uniknąć może przesilenia finansowego, jeśli koleje żelazne, kopalnie węgla i żelaza tak się pomnożą, że płody eksportowe przewyższą krajowe potrzeby. Niechybnie zaś sprowadziłaby przesilenie finansowe — każda wojna. „Dla tego téż — mówi — nie masz zapewne kraju, któremu utrzymywanie polityki pokojowéj większą stałoby się potrzebą, jak Rosji; dla tego tak zgubną byłaby każda sztucznie wywołana walka pomiędzy plemionami słowiańskiemi a germańskiemi, jaka się obecnie propaguje w Rosji. Tylko trwały pokój, umożebniając oszczędności państwowe, podać może ludności środek wypłacenia części zagranicznych długów. Dopóki zresztą piętnastu miljonami poddanych rządzić będzie trzeba po wojskowemu na zachodnich krańcach państwa, dopóty téż należy utrzymywać ogromne zbrojne siły, nawet w czasie pokoju. Z tego powodu trzeba i tam zaprowadzić stanowczą zmianę w systemie rządzenia, ażeby ludność wszystkich innych części państwa nie zakrwawiła się dla Polski.

Autor nie pragnąc widzieć Polski w składzie państwa rosyjskiego, proponuje zamian Kongresówki na ruską część Galicji — jak się zaś na nasze stosunki zapatruje, okaże następny ustęp. Jak wielu jego rodaków, nie odróżnia on tu Rusinów od Rosjan, czyli Moskali. — „Najoczywiściéj — pisze na str. 110 — oddziałują wpływy stronnictwa narodowego na rząd z powodu uciemiężania zachodnich dzielnic państwa, a mianowicie niemiecko-bałtyckich i polskich. Powstanie z r. 1863 dało pochop do obecnéj polityki. Aż do tego czasu nie przedsięwzięto znaczniejszych zmian w owych ziemiach, wyjąwszy tłumnego nawracania do kościoła grecko rosyjskiego za panowania cesarza Mikołaja. Królestwo polskie miało prawie zupełnie odrębny samorząd, dziewięcioma niegdyś należącymi doń prowincjami rządzono tak samo, jak resztą państwa, a ziemie bałtyckie rządziły się wedle starodawnych praw swoich. Gdzie za panowania zmarłego cara zbytecznie wyciągniono struny, tam popuszczano je w skutek humanitarnego usposobienia panującego obecnie monarchy. Nieszczęsne powstanie z r. 1863 udowodniło, jak mało Polacy zasługiwali na podobną łagodność; rząd więc, uśmierzywszy powstanie musiał obrać politykę, jaką sam zbieg okoliczności nastręczał. W dziewięciu niegdyś polskich prowincjach jest 10,600,000 mieszkańców — z tych 7 miljonów (?) prawosławnych*), 2½ miljona katolików i jeden miljon żydów. Dobra wiejskie były prawie wyłącznie w ręku szlachty katolicko-polskiéj — w miasteczkach przeważała ludność żydowska.

„Powstanie znalazło poparcie jedynie między katolikami, a zwłaszcza między szlachtą i duchowieństwem (?). Chłopi narodowości rosyjskiéj (?) trzymali prawie wszędzie z rządem. Wynagradzanie tedy wiernéj ludności kosztem powstańców stało się naturalnym skutkiem zwycięztwa; weszło ono w zakres stałéj polityki rządu tém snadniéj, im bardziéj wzrosła nienawiść Polaków do Rosjan, a marzenia ostatnich doszły do tego stopnia, że nie można się było spodziewać rychłego pojednania. Katolicyzm ze swemi pretensjami do wyłącznéj przewagi nie da się zresztą żadną miarą pogodzić z rosyjsko-państwowym kościołem, który sobie do tegoż samego rości prawo.

„Z tych przyczyn wypowiedział rząd i opinja publiczna w Rosji wojnę narodowości polskiéj, a zwłaszcza polskim właścicielom dóbr i katolickiemu duchowieństwu. Że przy tego rodzaju wojnie niezliczone zdarzają się bezprawia, że ludzie, co nietylko nie brali udziału w powstaniu, lecz nawet przeciw niemu nieprzychylnie byli usposobieni, zostali pokrzywdzeni — temu zaprzeczyć nie można, są to bowiem nieuniknione skutki każdéj wojny.

„Rząd chwycił się następnych środków wynarodowienia i wytępienia polskiego żywiołu: zabronił Polakom nabywać nowe posiadłości ziemskie — rozdzielił grunta pomiędzy gminy włościańskie kosztem ich dawniejszych panów, których jednak wynagrodzono za te straty (?) — pozbawił panów wpływu, jaki dotąd wywierali na włościan — wydalił Polaków ze służby państwowéj i gminnéj — zniósł klasztory — i wreszcie zaprowadził gwałtem język rosyjski w życiu publiczném, w szkole, i o ile się to dało, w kościele.

„Można sobie łatwo wyobrazić, jakich zdzierstw, łupiestw i swywoli dopuszczała się zgraja rosyjskich urzę-

*) Należy tu rozumieć lud unicki a częściowo już zmuszony do prawosławia. P. R.

dników, mających wypełnić te ukazy w kraju, będącym w stanie oblężenia.

„Niechybnym skutkiem podobnego stanu rzeczy jest zupełne rozprzężenie wszelkich stosunków, stagnacja w rolnictwie i handlu, słowem ostateczne zubożenie kraju. Wśród takich okoliczności trudno się spodziewać polepszenia. Gdyby Polska z pod zaboru rosyjskiego, również pod zaborem pruskim, miała po za sobą kraj wysoko wykształcony (?) którego siły żywotne szukają ujścia na zewnątrz, wtedy mogłaby się Rosja spodziewać wedle przykładu pruskiego, że ziemia zwolna przejdzie z rąk polskich w rosyjskie, że rzemieślnicy rosyjscy osiedlą się w miastach, i że rosyjscy dzierżawcy zastąpią polskich. Niemoc kolonizatorska Rosji od Wschodu ku Zachodowi nigdzie nie objawiła się wyraźniéj, jak właśnie w ziemiach polskich. Pomimo korzyści, jakie rząd zapewnia nowym z Rosji osadnikom, nie pojawiają się oni — pomimo nizkich cen, jakich żąda za odebrane polskim właścicielom dobra, niemasz kupujących, tak więc jest rząd zniewolony do podziału tychże dóbr pomiędzy urzędników, ażeby tym sposobem choć na papiérze utworzyć klasę rosyjskich właścicieli. Dotąd udało się w rzeczy saméj doprowadzić szlachtę polską do zupełnego zubożenia, czém jéj odebrano wszelkie środki do możliwego powstania, lecz jeśli stan ten dłużéj potrwa, zaszkodzi sobie sam rząd, wskazując znaczną część poddanych na żebraków, ludność zaś wiejska tak jest zaniedbaną, że chyba po wielu pokoleniach będzie mogła korzystać z wolności, jaką jéj nadano. W prowincjach owych pozostaje więc jedna tylko żywotna klasa ludności (!) a tą są żydzi, lecz i oni ubożeją, gdyż żyli dotąd kosztem reszty mieszkańców, a zwłaszcza szlachty, która obecnie chyba własną niedolą dzielić się z nimi będzie. O zdolności zaś żydów tworzenia własną pracą nowych kapitałów, bardzo wątpić należy. Dobrzeby było nadać żydom prawo nabywania posiadłości ziemskich, oni bowiem jedni mają w ręku środki zastąpienia pod tym względem szlachty. Bądź co bądź utworzonoby przecież w ten sposób klasę właścicieli ziemskich, na których powolność mógłby rząd liczyć nieomylnie.

„W r. 1869 przeszło na prawosławie 9,000 katolików. Zdaje się to być dowodem słabnącego wpływu kościoła katolickiego — lecz tak nie jest — owszem ucisk widocznie podnieca gorliwość katolików. Nieźleby było zaprowadzić po kościołach język rosyjski zamiast polskiego tam, gdzie gminy wiejskie są rosyjskie jak w większéj części zachodnich prowincji (?). Nie ma też powodu uczenia w tych gminach po polsku. Ale zabraniać Polakom użytku ojczystego języka, jak się to dziś dzieje, jest rzeczą nierozumną, prowadzi zaś tylko do nienawiści i obłudy.

„W Irlandji, wyjąwszy ludzi niewykształconych, mówi każdy po angielsku, jak w Czechach prawie wszyscy używają języka niemieckiego (?), co jednak nie wpływało wcale na sympatję Irlandczyków i Czechów do panującego narodu. Natomiast straciła Holandja Belgję, Danja Holsztyn, Piemont Sabaudję, gdy krajom tym narzucać chciały swój język. Nie potrzeba się wprawdzie obawiać, by dzielnice zachodnie, w których mniejsza (?) acz najwykształceńsza część ludności jest pochodzenia polskiego, miały kiedykolwiek odłączyć się od Rosji — lecz prześladowanie języka jest środkiem bezskutecznym i podnieca tylko nienawiść pomiędzy narodami, skazanemi na to, by żyć ze sobą. Wychowanie nawet w zakładach państwowych nie przerobiło Polaków na Rosjan, a wielu przywódzców ostatniego powstania powychodziło ze szkół petersburgskich.

„W obec niepowodzenia największéj części środków, jakich się rząd w prowincjach zachodnich chwytał, łatwo można pojąć, czemu wyżsi urzędnicy, którym wykonanie tychże środków poruczono, chwiejni w postępowaniu, nieraz mimowoli zabierają się do pracy, któréj bezowocność i niesprawiedliwość sami najlepiéj widzą. Ztąd wypływa wielka niepewność w wykonywaniu rozporządzeń i ciągła zmiana urzędników, zwiększająca jeszcze ogólny zamęt.

„Środki te nie obiecujące powodzenia w prowincjach zachodnich, rozciąga teraz rząd i na Królestwo Polskie, gdzie ma do czynienia z ludnością jednolitą, liczącą 4,354,000 czysto-polskich mieszkańców, podczas gdy cała ludność kraju wynosi 5,730,000, z pomiędzy których 766,000 żydów. Po ostatniém powstaniu, dla którego stan wiejski najmniéj miał sympatji, słusznie wyznaczono dzierżawców-chłopów, niezależnych od pana właściciela, ofiarując dotychczasowym posiedzicielom, których trzeba było koniecznie pozbawić wszelkich sposobów do buntowania się, skromne tylko wynagrodzenie. Również usprawiedliwioną była konfiskata dóbr kościelnych i zniesienie klasztorów, które z dawien dawna były siedliskiem spisków przeciw rządowi. Mniéj słusznie przeniesiono zarząd Polski do Petersburga, gdyż właściwości tego kraju długo jeszcze wymagać będą pewnych uwzględnień, którym z daleka nie będzie można zadosyć uczynić. W każdym razie wprowadzenie języka rosyjskiego do urzędów, szkół i do wszechnicy, jest błędem brzemiennym w złe skutki. Język wykształcony, jakim jest bezwątpienia język polski, nie da się żadną miarą wyprzéć innemu. Kuszenie się o to może tylko oburzać. Kto sieje nienawiść, ten nigdy miłości sprzątać nie będzie.

„Chcąc usprawiedliwić postępowanie rządu rosyjskiego względem Polski, twierdzą niektórzy, że próbowano kilkakrotnie pozyskać sobie naród dobrocią, lecz przekonano się, że go tylko przemocą w karbach utrzymać można. Dla tego obrano Polskę za stałą pozycję wojskową. Zapatrywanie to jest co najmniéj jednostronném. Nie można bowiem przez dłuższy przeciąg czasu rządzić po wojskowemu ani nad królestwem, ani nad prowincjami zachodniemi. Na ten cel nie wystarczą podatki reszty państwa rosyjskiego. Do powszechnych zaś i ciągle się wzmagających ciężarów mogą się owe kraje przyczyniać tylko wtedy, skoro je rząd przestanie zabijać duchowo i ekonomicznie i t. d....

„Nic wreszcie nie zatruwa tyle usposobienia rządu, jak potrzeba ciągłego zastosowywania środków gwałtownych względem pewnéj części poddanych. Cała jego fizjognomja przybiera wtedy mimowoli pewien odcień ciemny i ponury.

„Z tych już powodów byłoby pożądaném uwolnić Rosję od Polski, która jak mara cięży na rządzie i toczy szpik całego kraju. Zdaje się, że zamiana Polski na wschodnią, czyli ruską część Galicji nastręczyłaby najprostszego środka, by żywiołowi polskiemu odebrać możność szkodzenia; — oparty bowiem na rosyjskiém chłopstwie w zachodnich swoich dzielnicach, nie potrzebowałby rząd zwracać uwagi na zamieszkałych tam w mniejszości Polaków, a to tém mniéj, iż możnaby majoraty rozdane w Królestwie oficerom i urzędnikom rosyjskim, wymienić na dobra posiadane jeszcze przez Polaków w prowincjach zachodnich, coby żywioł rosyjski znacznie wzmocniło. Natenczas pozbyłby się rząd nieroztropnéj obawy dotyczącéj osiedlania się Niemców we wschodnich prowincjach i pojąłby, że tylko Niemieccy kapitaliści mogą przyczynić się do wykupienia polskich dóbr, i że jedynie niemieccy rzemieślnicy zdołają ożywić miasta i współzawodniczyć z żydami i Polakami. Wówczas już żaden ruch narodowy nie oddziała na pograniczne rosyjskie prowincje, w których dziś niejeden zwraca wzrok pełen nadziei ku Warszawie i Lwowu.“

Podawszy wyżéj w treściwym przekładzie główne ustępy broszury, odnoszące się do Polski, uważamy za potrzebne bodaj kilkoma słowy objaśnić czytelnika, w jakim to celu czynimy. Jesteśmy pewni, że równie jak my, tak żaden z naszych czytelników nie myśli wcale o wprowadzeniu w czyn propozycji bezimiennego autora — byłoby bowiem zbrodnią gdyby część narodu, dla ulżenia swego losu wydała na pewny łup i wytępienie barbarzyńskiemu rządowi mieszkańców Litwy, Ukrainy i Wołynia, którzy z nią dzielili dobrą i złą dolę i w czasie walki z wrogiem dali tyle dowodów patrjotyzmu i poświęcenia. O praktyczném więc zastosowaniu utopji autora — nie może być wcale mowy — poglądy jego na sprawę polską, acz z naszemi niezgodne przytoczyliśmy jedynie w tym celu, by wskazać, że Rosjanie nie tający się wcale z wrogiem dla nas uczuciem, mimo to czują, że system wynaradawiania Polski jest dla Rosji zgubny, i prędzéj czy późniéj pomści się na niéj saméj.

K. K.

Wycieczka do Saskiéj Szwajcarji

przez

Hr. na Lodowéj Turni.

(Dalszy ciąg).

Wróciliśmy znowu do ścieżki żwirowéj. Wkrótce téż ukazywać się nam zaczęły zabudowania hotelowe; w prawo rysowała się wśród drzew wyniosła postać wieży 70' wysokiéj, dla wygody podróżnych zbudowanéj.

— Patrz! — rzekł wskazując na nią Tadeusz — oto Niemcy sztuką nadstawiać muszą wysokość swych gór! Jakże komicznie wyglądałaby taka wieża na Gerlachu lub Łomnicy!...

— Z tém wszystkiém może miałbyś ochotę popatrzeć z niéj na Saską Szwajcarję? Ma być ztamtąd widok najpiękniejszy w północnych Niemczech (jak zapewnia Baedeker), a do tego znajduje się tam teleskop.

— To jest... chciałeś pewnie powiedzieć przybliżawka.

— Przybliżawka?... Co to jest przybliżawka?

— Jak to! byłeś w Tatrach i nie wiesz? a to jest sobie po prostu przepolszczony teleskop.

— Trafny wyraz — ani słowa!... Przybliżawka... doskonale!... Czyś to w Tatrach słyszał?

— A jużci w Tatrach.

— Pewnie od jakiego turysty z Królestwa?

— Bynajmniéj! po prostu od górala Wojciecha Gąsienicy, który mnie prowadził przez Zawrat do Morskiego oka.

— A zkąd on wpadł na ten wyraz szczęśliwy?

— Być może, że sam jest jego twórcą. Gdy u mnie zobaczył ten jak ty mówisz teleskop, zaraz zawołał z radością: „A to pewnie przybliżawkę macie ze sobą?“ — A cóżby jeno przybliżawkę — odrzekłem — powtarzając z radością ten wyraz po raz pierwszy słyszany. — Ale czemu wy to nazywacie przybliżawką, zapytałem, czyście to słyszeli od jakiego gościa? — Nie! to tak my tu mówimy; bo i jak to nazwać inaczéj, kiedy jak się bez to wejrzy na przykład na Giewont*), to się zaraz do człowieka przybliży. — Nie wiem jak tam komu, ale mnie się bardzo ten wyraz podobał. Gdym potém zwiedzał Pieniny, poznałem się z kilku osobami z Królestwa, a ponieważ i oni mieli także przybliżawkę, więc przy każdym rozleglejszym widoku prosił jeden drugiego o „teleskop“ albo co jeszcze gorzéj o „perspektywę.“ Nie mogłem już dłużéj wytrzymać, żeby ich nie pouczyć, jak się to narzędzie nazywa po polsku. Nad spodziewanie moje bardzo się przybliżawce ucieszyli i jako pojętni uczniowie ustawicznie ją potém przy każdéj sposobności powtarzali. A nawet, gdyśmy siedli na popas, każdy wyjąwszy ołówek, sumiennie sobie tę nazwę w pugilaresie zapisał. A było ich trzech: jeden z Litwy, drugi z Warszawy, trzeci z Lublina. Tak więc mieliśmy roznieść to polskie słowo przez górali używane po wszystkich częściach Polski. Niestety wyznać tu muszę ze wstydem, że za mało byłem w téj mierze gorliwy. Teraz się poprawię, od ciebie zaczynając nawracanie.

— Zgoda! — rzekłem śmiejąc się — a więc czy pójdziemy na wieżę by za pomocą przybliżawki obejrzeć Saksonję?

— Owszém, ale sądzę, że byłoby lepiéj odłożyć to na koniec, na odpoczynek niejako?

Tymczasem już zbliżyliśmy się do wieży i oto u stóp jéj rozwarła się znowu przed nami druga przepaść. Przekonaliśmy się, że jesteśmy na wysokim a wązkim (że tak powiem) półwyspie, który śpiczastym końcem jakby przylądkiem dociera prawie do saméj Elby. Sam ten przylądek jest najciekawszym. Wystaw sobie ruiny jakiéj kolosalnéj starożytnéj świątyni z licznemi, na kilka set stóp wysokiemi kolumny, odpowiedniéj grubości; dach już zniszczony, ale kolumny jeszcze stoją mocno, niektóre już w gruzach, więc już nie można tak dobrze ich symetrycznego porządku dopatrzeć. Wystaw sobie daléj, że na tych gruzach rosną gęsto świerki, jodły, sosny, brzozy, a po nad wszystkie drzewa sterczą jeszcze zuchwale tu kawał ściany olbrzymiéj, tam jedna i druga kolumna porysowana, popękana, z białego niegdyś marmuru, dziś popielata i szara. Dajmy na to, że na tyle świątyni zostało jeszcze nieco sufitu, więc na tém sklepieniu wyobraź sobie zabudowania hotelowe, salę jadalną, liczne ławki, altany dla gości. A ztąd już daléj naprzód, ponieważ sufit raptem się kończy, można tylko za pomocą sztuki kroczyć, więc pojedyncze filary połączono mostkami, tak że idziesz jakby po jakim wiadukcie olbrzymim. Nawet odważono się zużytkować jedną kolumnę, która jest najwięcéj ku Elbie wysunięta i bez żadnego związku z innemi stoi: i na nią bowiem rzucono pomost, brzeg jéj otoczono galerją i ot możesz stanąć na jéj wierzchołku jak na gniaździe bocianiém umieszczoném na jakiéj wysokiéj obciętéj z gałęzi topoli. Albo jeśli ci się niepodoba porównanie o gniaździe — to wystaw sobie, że stoisz jak Napoleon na kolumnie Vendôme w Paryżu i z jéj wysokości patrzysz na Szwajcarję — a będziesz miał jakie takie pojęcie o owéj sławnéj Bastei.

Minąwszy oberżę weszliśmy na owo gniazdo albo raczéj na kapitel téj najskrajniejszéj kolumny, 700' nad powierzchnię Elby wyniesionéj. Tuśmy mogli podziwiać Saską Szwajcarję w całéj jéj ozdobie i poznać najlepiéj, czém jest właściwie tak sławną i głośną. Cechą jéj charakterystyczną są właśnie owe dziwne formacje skał, co już to pojedynczo stoją cienkie jak kolumny, już to w szerokiéj objętości wychodzą z ziemi pionowo opoczystą górą, płasko uciętą, wyglądając zdala jak potężne niezdobyte twierdze. Gdyśmy okiem rzucili na okolicę,

*) Giewont (5746') najbliższy szczyt Zakopanego.

uderzyły też nas przedewszystkiém owe rozproszone na lekko pogarbionym gruncie kamienne grody, które Tadeusz przyrównał do kretowin na łące. To porównanie acz wzgardliwe, bardzo jednak trafnie charakteryzuje ich odosobnienie i rozproszenie. Ta zaś zachodzi różnica, że kretowina ma formę mniejwięcéj półkuli, gdy tamte jak cylindry sterczą z ziemi. Najznaczniejsze z nich są: na południo-wschód Lilienstein (1257′), wprost przed nami Koenigstein (1115′), rzeczywista forteca, za nią Pabststein i wiele innych. Najwyższy punkt ukazywał się nam na wschód. Jest to Grosser Winterberg (1731′), tém się od poprzednich różniący, że się łagodnie podnosi i opada; skalistych boków na nim nie widać.

Piękność tego miejsca nie mało podnosi poważna Elba, która w prostym kierunku podpływa prawie pod samą ową kolumnę, na któréj stoimy, i następnie ku zachodowi łagodném półkolem się skręca. Po niéj szybują od czasu do czasu parowce, to w tę, to w przeciwną stronę. Za nią, na lewym brzegu wiedzie kolej żelazna z Drezna do Pragi, łącząca zarazem Hamburg nad morzem Niemieckiém z Trjestem nad Adrjatykiem. Właśnie pociąg sunie w całym pędzie na wyciągnionych dwóch linjach kolei. Jak prędko się zjawił, tak prędzéj jeszcze na zakręcie Elby, za pagórkiem zniknął; tylko łoskot jego jednostajny długo jeszcze rozlegał się wśród skał. Zresztą widok jakkolwiek rozległy, jest sobie dosyć pospolity i gdyby nie owych kilka wysp skalistych, nie byłoby czego podziwiać. Natomiast całą naszą uwagę zajmowało miejsce, na którém się znajdowaliśmy: to jest owe kolumny i pośród nich rozwarte przepaście. Długośmy sobie chodzili po tych mostach łączących jedną kolumnę z drugą, zaglądając bezpiecznie do otchłani nasrożonéj świerkami; bezpiecznie, bo wszędzie poręcze mocne chroniły od przypadku. Z dziecinną prawie radością podziwiałem te śmiałe, zuchwałe formy skał, bo często fundament był na oko za słaby, a przecież kolosy te stoją mocno choć zdaje się nieraz na glinianych nogach. Nawet Tadeusz przechodził z jednego filaru na drugi, nie mogąc się nasycić tą niespodziewaną oryginalnością miejsca.

— Zaczynam się lękać o ciebie, — odezwałem się w końcu do niego — by ci czasem ta Bastei nie zawróciła głowy zbytecznie!

— Bez mała — odrzekł — zwłaszcza jeśli daléj tak będzie: wszakżeż to dopiéro początek Szwajcarji?

— Tak, ale jest to zarazem der Glanzpunkt der Saechsischen Schweiz: piękniejszych zatém miejsc już się spodziewać nie możemy.

— O jeśli tak, to się nie lękaj o mnie, bo jakkolwiek te skały są przecudne w wyniosłych kształtach swoich, jednak ciągle mi tu czegoś brakuje.

— Czy wody? — masz przecie oto u stóp naszych Elbę wspaniałą.

— To też to właśnie, że ta Elba wcale mi się tu nie zdaje stosowną. Patrz, jak się wlecze leniwo i ospale. Do tych skał poszarpanych i groźnych, do tych przepaści i lochów, innéj potrzeba wody! Puść tu potok gwałtowny coby się miotał wśród tych głazów zuchwałych, daj tu wodospad grzmiący, a inne by tu życie tętniało!...

— Być może słuszną twoja uwaga, bo i mnie dziwnie się tu jakoś spokojnie i martwo wydaje. Ale przyznasz jednak, że skały te silne na ciebie wywarły wrażenie?

— Nie zapieram się tego — owszém przyznaję, że w Tatrach naszych tak pięknych skał nie ma. Ale cóż ztąd? te kilka skał i nic więcéj! A gdzież te stawy tatrzańskie jak zwierciadła czarodziejskie; gdzie te kaskady grzmiące, te potoki gwałtowne; gdzie te straszliwe turnie i wierchy*) niebotyczne, na które strach spoglądać: tak groźno na cię z pod obłoków patrzą! gdzie te śniegi błyszczące, zwiastuny alpejskiéj krainy!... A tutaj jakież ubóstwo natury!... Kilka skał cudackich widzę, ale życia górskiego napróżno tu szukam! Nie masz tu ani owych polan**) kwiecistych, ani hal***) z owcami dzwoniącemi, ani tych górali naszych w malowniczych strojach, ani tych szałasów dymiących, w których wesołe i śliczne pasterki, co cię mlekiem uraczą!...

Wtém muzyka zagrała jakąś skoczną galopadę.

— Ot masz na dobitkę!... Gdzież to jesteśmy? w górach, czy też w którym ogródku publicznym w Berlinie lub Dreźnie?...

— W górach — rzekłem śmiejąc się — i to w drugiéj Szwajcarji europejskiéj. Patrz tylko: ta oto Bastei, na któréj stoimy, — to Rigi; u stóp jéj Elba — to jezioro Vierwaldstaedter; za niém widzimy cały szereg Alp: najbliższy oto nad Elbą Rauenstein — to Pilatus, a owe jak mówiłeś kretowiny — to śnieżne szczyty Glärnisch'a, Wetterhorn'a, Dziewicy, Mnicha...

— Nie bluźnij!... — przerwał śmiejąc się Tadeusz — czyliż się godzi takiém porównaniem ubliżać Szwajcarji!...

— A broń Boże! — To też cytując te podobieństwa wystawiałem sobie w duchu, że jestem Sasem i patrzę przez prysmat miłości niemieckiéj ojczyzny.

— To co innego! w takim razie pewnie to będzie co najmniéj Szwajcarja — ależ my patrzym na te góry bezstronnie, a nie okiem zamgloném zarozumiałością niemiecką. I cóż więc widzimy?... kilka głazów, dumnych z wyniosłéj postawy, i — nic więcéj!... nic, coby ci przypominało czarowną górską przyrodę!...

— No, toć trudno zresztą od Saksonji więcéj wymagać nad to, co jéj Bóg dał, i czém ją ludzie po swojemu ustroili.

— Jać też nie wymagam więcéj, ale dziwi mnie bardzo jak może ktoś te kilka skał wyżéj stawiać nad nasze Tatry niezrównane, kochane, jedyne!... One tylko są godnym obrazem Szwajcarji, ale nie te bawidełka kamienne!... Dobre to na chwilową rozrywkę, ale żeby na serjo w tém się zakochać, to trzeba zaprawdę miękkiego serca i nic lenszego w życiu nie widzieć!

Tu rozmowę naszą przerwał wyelegantowany młody kelnerzyk zapytaniem: czy nie zjemy tutaj obiadu. Spojrzałem na zegarek: była już pierwsza godzina. Zawróciliśmy więc do sali jadalnéj, gdzie szczupłe grono turystów właśnie do obiadu się zabierało. Siedliśmy niebawem, a zajadając kalbsbraten słuchać musieliśmy z prawdziwém poświęceniem, jak nam jakiś emeryt profesor opowiadał obszernie swoją kurację i djetę, jaką tu zachowuje. Znudzeni do ostatka, wynieśliśmy się czémprędzéj, by wedle pierwotnego programu zajrzeć na wieżę. Jednakże ponieważ już poprzednio z owego gniazda bocianiego cały prawie widnokrąg mieliśmy przed sobą, przeto woleliśmy raczéj udać się znowu na owe filary dla poobiedniego spoczynku. Siedliśmy na grubéj poręczy mostu łączącego dwie skały. Tadeusz zapalił wonne cygaro, a puszczając gruby kłęb dymu, westchnął i rzekł:

— Mój Boże! jak to zupełnie inaczéj obiadowało się w Tatrach!... Czy pamiętasz owe wesołe chwile, gdyśmy wdrapawszy się szczęśliwie na szczyt Świnnicy*) po pierwszych wrażeniach nowości spoglądali ukradkiem jak Wala**) wydobywał z sakwy nasze skromne zapasy chleba, masła, wędlin i owych

---

*) Wierch, szczyt.

**) Polana, łąka w dolinie.

***) Hala, pastwisko górskie.

*) Świnnica (7001′) najwyższy szczyt w Tatrach polskich. Gerlach, Łomnica, Lodowa turnia leżą już na węgierskiéj stronie.

**) Wala, jeden z najlepszych przewodników w Tatrach.

sławnych kiełbas nowotargskich; jak to wszystko rozkładał systematycznie na kamieniu takim, który się najlepiéj na stół kwalifikował. Jak daléj składał rozmaite części maszynki do herbaty, do któréj mu się już naprzód serce śmiało, jak ostrożnie potém dobywał flaszkę z arakiem, troskliwie ją chowając w bezpieczną śród kamieni szparę. To był wstęp dopiéro. Chodziło teraz o dwa bardzo ważne artykuły, to jest o ogień i wodę do herbaty. Zkąd tu wziąć drzewa w téj krainie podobłocznéj, gdzie wszelka wegetacja ustaje, zkąd wody, gdy tu panowanie kamienia! Ale od czegóż przemysł ludzki?! Na ogień służył wybornie mech wielki, suchy, płucnikiem zwany, który się palił jak siarka. Wody dostarczył śnieg, którego w Tatrach dostatkiem. Co to była za uciecha patrzeć na Walę, jak nanieciwszy ogień, przystawił blaszankę z ubitym śniegiem do ognia; jak sobie potém nałożywszy fajeczkę fabryką*) pykać zaczął wygarniając łyżeczką prusze z topiącego się śniegu. Jak nam wśród tych czynności, mając wolną chwilę, nim śnieg się stopi i następnie woda zagotuje, tłomaczył wskazując fajeczką, że ten szczyt nazywa się Kościelec, ten Granat, tamten to Żółta Turnia, ów zaś ogromny zakrzywiony kopiec za nami to Krywań; ten staw taki, ten owaki, a tam oto kozicka się pasie; a wśród téj lekcji nie spuszczał z uwagi garneczka, w którym już śnieg się roztopił. Więc przez biały płatek przecedził wodę w inne naczynie i przystawił znowu do ognia. A tymczasem nim herbata będzie gotowa, raczyliśmy się po obozowemu owemi specjałami żołnierskiemi, rozpatrując się ciągle z niewysłowioną rozkoszą w owém „rozhukaném morzu Tatr“, jak się poetycznie a trafnie wyraża Łapczyński. Ach, czyliż jeszcze kiedy pozwolą mi nieba zażyć tych czasów szczęśliwych w naszych Tatrach kochanych, dziewiczych, nietkniętych cywilizacją, nieoszpeconych zdzierczemi oberżami!...

— Wszystko to jest bardzo pięknie, co mówisz, ale nie każdemu się takie życie obozowe podoba! nie każdy téż zresztą ma siły po temu, żeby znieść taką koczowniczą podróż. Mają i ścieżki żwirowe i oberże swoje bardzo, bardzo nieraz praktyczne zalety. Pamiętasz jakeś nieraz narzekał na nogi, jakeś wyszukiwał ścieżki wygodniejszéj. A cóżbyś nieraz był dał za nocleg ciepły i wygodny w numerze hotelowym!

— To się tak mówiło zwyczajnie, bo człowiek już jest z natury skłonny do narzekania, ale ileż za to zyskiwała podróż na poezji i romantyczności przez to właśnie obozowe życie!...

(Ciąg dalszy nastąpi.)

*) Fabryka, tak nazywają górale tytuń.

POKŁOSIE.

Tygodnik Katolicki, o którym śmiało powiedziećby można że jest „plus catholique que le pape“, stając w obronie Lwowskiego Przeglądu, w Nr. 34 obrzuca potokiem wymownych swych epitetów nietylko pismo nasze, ale i osoby jego współpracowników. Odpowiadać na tak śmieszną zaczepkę, byłoby co najmniéj również śmiesznością; znakomity uczony bowiem, autor wspomnionego artykułu sam sobie daje świadectwo kompletnéj nieznajomości literatnry, skoro człowieka takiéj wiedzy i takiéj w obec narodu zasługi jak **Dr. Libelt** stawia w jednym rzędzie z młodymi ludźmi dobijającymi się w piśmie naszém imienia i razem obrzyguje jadem swego pióra.

Od chwili, w któréj wolno będzie bezkarnie rzucać się na wszystko, co wyższe od nas, — czcić nam chyba wypadnie plwający ultramontanizm i wierzyć w to, co podobne powagi jak korespondent Tygodnika Katolickiego zawyrokują; — do téj zaś chwili (a pewni jesteśmy, że dla naszego kraju nigdy ona nie nadejdzie) odpowiedź na gromy Tygodnikowe, wymierzone przeciw takim, jak Dr. Libelt ludziom, jest całkiem bezpotrzebną. Z zasady zresztą nie zwykliśmy polemizować z Tygodnikiem Katolickim i raz jeszcze powtórzymy, choćby go to znów rozgniewać miało, że brzydzimy się polemiką, która czepiając się osób nie przedmiotu, przemawiać zwykła językiem przekupki.

* * *

— Na posiedzeniu Rady Nadzorczéj z dnia 3 b. m. zapadła uchwała, w moc któréj udzielone zostało p. Stanisławowi **Dobrzańskiemu** upoważnienie, do zebrania i zorganizowania towarzystwa dramatycznego działowego. Pomysł to bardzo szczęśliwy, choć nie tak nowy jakby się to komu zdawać mogło, jednak powtarzamy bardzo szczęśliwie i bardzo na czasie u nas pochwycony. Artyści „comédie française“ tworzą podobne stowarzyszenie dramatyczne, gdzie zarazem aktor jest doradzcą i wykonawcą dzieł scenicznych. Mniemamy, że wspólny interes łączący stowarzyszonych, talent nie wyzyskiwany przez pojedynczego przedsiębiorcę, lecz owszém podżegany szlachetną emulacją o lepszą, korzystnie wpłynie na sztukę dramatyczną. Takt p. Dobrzańskiego pozwala się nam spodziewać, że odpowie godnie położonemu w nim zaufaniu Rady Nadzorczéj i prowincji. Szczęść Boże! Witamy z uznaniem ten nowy projekt skojarzenia sił artystycznych, który jeśli potrafi wywalczyć sobie prawo obywatelstwa u nas, ma szeroką przyszłość przed sobą.

W tych dniach ukazała się nowa humorystyczna kartka p. n. **Komar**.

Bawił chwilowo w naszém mieście znany fortepianista p. **Zarzycki**.

W Berlinie wykształcił się i pomiędzy Niemcami wyrobił sobie imię, więcéj może znane i cenione jak w kraju, malarz-artysta **Bochenek**. Za tém większy uważam sobie obowiązek podać choć kilka szczegółów o nim, że reprezentuje on ten dział tak nieobfity wśród nas, — malarstwo Polski z pod zaboru pruskiego, jako Polak-Szlązak. Narodowość nasza żyje dziś i to dość silnie na Górno-Szląsku, ale przeważnie, jak to było przed kilkunastu laty jeszcze, w Czechach, wśród ludu; wykształceńsze warstwy: obywatelstwo wiejskie i miejskie, biórokracja i t. d. są niemieckiemi. Mało zaś nadzwyczaj jest takich, którzyby, odebrawszy wyższe wykształcenie, przechowali poczucie polskości. Do małéj téj liczby należy właśnie pan Bochenek, tém słuszniéj więc zwrócić na dzieła jego uwagę współbraci, mianowicie, że pierwszy to teraz jego utwór dostanie się do Poznania za pośrednictwem miłującéj sztukę ojczystą pani hr. K....... — Pan Bochenek jest wyłącznie prawie malarzem historyczno-religijnym, przeważnie jednak w dziełach jego przebija ten ostatni kierunek.

Na dziś wstrzymuję się od krytyki utworów p. Bochenka, ograniczając się na wymienieniu gdzie i jakie się znajdują:

W Tarnowicach, w kościołach: św. Wincenty à Paulo, Chrystus i Samarytanka, Syn marnotrawny, Wniebowzięcie Najświętszéj Panny;

w Orzeszu na Górnym-Szląsku, w kościele: św. Barbara;

w Królewcu, w posiadaniu prywatném: Samarytanin;

w akademji berlińskiéj znajduje się obraz konkursowy, uwieńczony nagrodą: Adam i Ewa po wygnaniu z raju;

w Marienbadzie: Chrystus jako założyciel nowego zakonu, — w zborze protestanckim;

w kościele w Zagarolo, miasteczku włoskiém, posiadłości księcia Rospigliosi: Męczeństwo św. Wawrzyńca.

Dla biskupa meksykańskiego podczas pobytu jego w Rzymie wykonał: Złożenie Chrystusa do grobu;

do kościoła św. Klaudjusza w Rzymie: Chrystus leżący w grobie;

w Nisie: Scena z życia zakonnicy Małgorzaty Abacoque.

W kościele pod Chojnicami: św. Jadwiga i św. Roch;

w Tucholi: św. Trójca;

w Heilsbergu: św. Michał.

Do Poznania, do klasztoru Karmelitanek, nadejdzie niezadługo: św. Teresa.

W Berlinie znajduja się: w muzeum: Wprowadzenie zwłok Tezeusza do mauzoleum w Atenach; w kościele św. Michała: Chrystus na krzyżu; u Dominikanów: Ob azy św. Dominika i św. Pawła.

Ponieważ bardzo często rodacy do Berlina przybywają, zwracam więc uwagę zwiedzających na te utwory naszego współziomka artysty. Dr. R.

Nakładem J. K. Żupańskiego mają wyjść Pamiętniki, dotyczące Wschodu, spisane przez pułkownika Zygmunta Miłkowskiego, znanego chlubnie pod przybraném imieniem Jeża. —

Włoskie jakieś stowarzyszenie powzięło zamiar wydobycia skarbów od wieków zatopionych w nurtach Tybru. Wiadomość ta przypomina nam wysuszania bagnisk pontyńskich.

Jan Kanty Szweykowski, autor Historji narodu polskiego zmarł dnia 21 sierpnia w Krowicy hołodowskiéj. —

Daniel Medicz przełożył na język serbski poemat Mickiewicza: Konrad Wallenrod. —

Leopold Ranke, słynny dziejopis niemiecki wydał dzieło o przyczynach siedmioletniéj wojny, a Jerzy Henryk Klippel żywot generała pruskiego Scharnhorsta. —

Ze Lwowa dochodzi nas dziś jeszcze echo téj serdecznéj a gorącéj sympatji, z jaką mieszkańcy halickiéj Rusi przyjmowali Wielkopolan. W głosie tym jednak brzmi pewna wymówka dla naszego Księstwa — i dla tego to powstrzymać się nie możemy od powtórzenia słów korespondenta, będących summą tego, cośmy zewsząd we Lwowie słyszeli:

„......Nie brakowałoż nam w chwili powitania do zupełnego szczęścia niczego i nikogo? — Gdzież był typowy nasz rodak, cześć i chluba kraju, Karol Libelt? Gdzie wytrwały tropiciel Berenszprungów Władysław Niegolewski? Gdzie niezłomnego zapału Kantak? Czemuż nie przybył z wami knam Rusinom żaden z tych Wielkopolan, co po zacnych Ojcach z ukochanéj, często krwawéj a przez czas długi twórczo-organicznéj przeszłości naszéj odziedziczyli czesne, ba pełne zasług imiona? Czemu jednem słowem nie uczestniczyły w tym zjeździe narodowym tak zwane imiona historyczne?... Co do tego ostatniego braku daje nam wielce pocieszającą odpowiedź niezmordowany weteran pióra, nasz Kraszewski, gdy powiada, „że w tym zjeździe narodowym był zupełny brak reprezentantów przeszłości naszéj; znać ztąd, iż ta spruchniała skorupa oddziela się od ziarnka, które już poczuwa konieczność wyłonienia się z krępującéj je dotąd a dziś zbędnéj osłony i rozrastania w dalszy żywot bez niéj lub z nią, a to nie inaczéj jak tylko wcielając ją w siebie."

„Ale gdy rzecz w istocie saméj tak się ma, jak ją ocenił Kraszewski, — czemuż nie mogliśmy powitać między wami Działyńskiego? Wszakżeż on przed wieloma równymi sobie i to nie od dziś dnia wydziela się gorliwą a wytrwałą i pełną poświęcenia pracą, z téj, przed wiekami ochraniającéj ziarnko narodowe a od dwu stuleci rozpadającéj się skorupy i assymiluje się z ziarném, którego przeznaczeniem jest rozrość się w nową, z popiołów i rumowisk przeszłości odrodzoną Polskę..." H. G.

W Berlinie wyszło dzieło p. n. „Hamlet, ein Tendenzdrama Shakspeare's", napisane przez G. F. Stedefelda, w którém autor stara się udowodnić, że dramaturg angielski dla tego jedynie ułożył swego Hamleta, ażeby uwydatnić złe skutki sceptycyzmu.

‚Athenaeum" pisząc o przedstawieniu w Londynie Hamleta, opery napisanéj przez Ambrożego Thomas, wymienia dzieła Shakspeare'a, które posłużyły za przedmiot do oper: Romeo i Ju ja przez Zingarelli, Vaccai, Bellini'ego i Gounod'a, — Wesołe kobiéty z Windsoru przez Ottona Nicolai, — Makbeth przez Chelard'a i Verdi'ego, — Othello przez Rossini'ego i Wiele hałasu o nic przez Berlioz'a. Muzykalnie illustrowali postać Falstaffa Salieri, Adolf Adam, Balfe i Ambroży Thomas.

Józef Gółkowski, pierwszy założyciel drukarni polskiéj w Prusach Zachodnich, umarł w Chełmnie dnia 23 sierpnia.

Jakób Gordon, znany autor „Sołdata" i „Kaukazu", wydał obecnie u Brockhausa w Lipsku tom swoich pamiętników p. t. „Gdy się było młodym." Podług oceny „Gazety Literackiéj" Nr. 8, dzieło to w niczém nie przypomina stylu utalentowanego pisarza, chyba w jego... usterkach.

Z odebranéj z Torunia korespondencji te słów kilka zamieszczamy:

„Podczas gdy Niemcy naszéj prowincji gotują się do pohulanki na grobie wolności naszéj, inni Niemcy dopomódz nam chcą do podźwignienia się z grobowéj jamy i zaczynają odwalać ziemię gniotącą pierś naszą. Ależ nie godzi się stawiać światła pod korzec. Wiedzmy więc, w kim mamy zbawcę i wskrzesiciela naszego. Szlachetny mąż ten przemieszkuje w grodzie Przemysławowym, w tym samym grodzie, do którego słowa, które właśnie skreślam, niezadługo podążą, by zyskać w nim dalszego dla sprawy naszéj pracownika. Znamy go już zresztą, szlachetne tętno bijącego dla nas tylko serca jego rozniosła usłużna, stujęzyczna Fama po całéj polskiéj krainie, ba! po całéj Europie, wówczas gdy za granicą, za morzem razem z przyjaciółmi swymi otwierał bióra, zaciągające żołnierzy, co mieli krew przelać na ołtarzu sprawy polskiéj. Ostatniém a raczéj najświeższém jego dla nas dziełem jest program polityczny, mający zapewnić nam odzyskanie złotéj wolności, przesłany niemieckim pismom prowincjonalnym, w których szanowny korespondent ich a nasz przyjaciel występuje w roli denuncjanta — przepraszam go, chciałem powiedzieć: adwokata. Ale nasz programatolog tak jest skromny, że elaborat swój przypisuje zjazdowi lwowskiemu, a mianowicie tajnym posiedzeniom, jakie się tam odbywały w rozgorączkowanéj w skutek kanikularnych upałów fantazji jego. — Wybaczcie, na podobne hanswurstjady tylko w podobny sposób odpowiadać można. J Gl.

W pracowni rzeźbiarza Filippi'ego znajduje się posąg ś. p. Stanisława hr. Skarbka, twórcy fundacji Drohowyzkiéj.

— Bawił chwilowo w mieście naszém autor „Rodziny Konfederatów" pan K. S. Bodzantowicz (Sufczyński). Nie od rzeczy będzie wyliczyć tu szereg prac tego odtworzyciela przeszłości naszéj. Jest on następujący: Rodzina Konfederatów, Fatum, Muszkieter, Żywot Metropolity Cieciszowskiego, Opowiadania pani Strażnikowéj, Wieczór przy kominie. W tece spoczywa przygotowany do druku obszerny rękopis szanownego autora: „Polskie boje i przygody żołnierskie." Jedną z mniejszych prac pana Sufczyńskiego p t. „Pan Gajewski" Tygodnik Wielkopolski wkrótce pomieści. —

— Z dniem 1go października wychodzić będzie illustrowany tygodnik dla dzieci p. t. „Promyk." Redaktorem pisma tego będzie p. Władysław Bełza, którego „Abecadlnik w wierszykach" trzeciego w przeciągu dwóch lat doczekał się wydania.

Skrzynka do listów.

Pani Z. w Koś...: Zapytujesz nas Pani jaka jest najstosowniejsza książeczka na podarunek dla sześcioletniego chłopczyka? Ze znanych nam polecić możemy „Abecadlnik historyczny" Anczyca, który już w trzeciém wydaniu wyszedł w znanéj księgarni Gubrynowicza i Szmita we Lwowie.

Dr. R... w B... i panu J... G... w T...: Serdeczne podziękowanie; — brak miejsca powstrzymał nas od zamieszczenia całości.

Bratu Sokołowi z pod Sądowéj Wiszni: dziękujemy za łaskawą pamięć — i sympatję dla Tygodnika.

Panu Edmundowi M... w Poznaniu: Pożądanemi dla dobra pańskiego byłyby studja nad Muczkowskim i Maleckim; tymczasowo pojmiesz Pan zapewne, że „go Redakcja zamieścić" nie może.

Panu X. Y. Z w Dreznie: Wierszyk Jego dla niedostatków formy pomimo poczciwéj myśli użytym nie będzie.

Panu Janowi Leśniewskiemu w Krakowie: „Próbki" Jego nie doszły nas, mimo to wyjątkowo znajdziesz Pan ich recenzję w Tygodniku.

Panu C. K... w Imaïlji: Nadesłane nóty kosztują razem 4 tal. $7\frac{1}{2}$ sbr., a wyłożone portorium wynosi 1 tal. $1\frac{3}{4}$ sbr.

X. Dr... w Brukselli: Życzone książki wkrótce nadejdą.

Wiarusowi z roku 31go: Po napisaniu do Niego listu odebraliśmy naprzód jeden spóźniony a następnie drugi list — obie przesyłki pieniędzy nas doszły.

Odpowiedzialny redaktor i nakładca Edmund Callier. — Czcionkami drukarni Ludwika Merzbacha w Poznaniu.